



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Pamiętnik niewydany hr. Potockiej-Wasowicz.

Wśród powodzi pamiętników, jakimi powrotna fala wspomnień XVIII w. zalewa obecnie literaturę europejską, a mianowicie francuską, wypłynęła wkrótce w książkowym wydaniu pamiętnik piona polki wysokiego rodu, pisany jednak elegancką gwarą z nad Sekwany, tętnący wytwornym duchem francuskim, a typowy pod wielu względami, zatem wart aby mu się bliżej przypatrzeć.

Pamiętnik ten skreślony ręką Anny z Tyszkiewiczów Potockiej-Wasowicz, zdobędzie niezawodnie wielu ciekawych czytelników z powodu nieznanych szczegółów, dotyczących dworu Napoleona I, i w sam czas zjawia się obecnie, kiedy legenda cesarska zyskuje coraz to nowe typy, sceny, wyjaśnienia w licznych wydaniach zbiorowych rycin, wspomnień, korespondencji i dzienników. Dla tych jednak, których nie porwie jedynie chwilowa moda literacka, będą mieć te poufne kartki, pełne zwierzeń młodej, inteligentnej kobiety, jeszcze duży urok przez szczegóły dotyczące jej lat dziecińczych, jej wychowania, jej życia, jako pięknej, młodej dziedziczki na rodzinnym jeszcze gruncie. I ta też część pamiętnika najżywiej zająć nas może, jako rzucająca pewne światło na życie młodej panny u nas pod koniec XVIII w., z tem nadmienieniem, że nie były to cechy i zwyczaje ogólne, lecz uprawiane w okręgu najwyższym społeczeństwa, mającym najwięcej styczności z zagranicą i jej wpływami.

Piękna pani nie daje nam daty swego urodzenia, tonie ona w pomroce jej wspomnień rodzinnych; dla współczesnych nie było potrzeby wyszukiwania tej dokładności, bo uroczą damą inne budziła wykrzykniki na ustach nawet rutynistów i pedantów,

lecz dziś, niegodziwy krytyk wysledził, że urodziła się aż w r. 1775, zatem jako już bardzo sędziwa staruszka opuszczała ten świat w r. 1867. Przez matkę swą, siostrzenicę Stanisława Augusta, dziecinne lata i młodość spędziła w Białymstoku, „jednym z najpiękniejszych pałaców kontynentu“, jak sama powiada, u swej ciotki Izabelli Branickiej, którą bardzo kochała i często wspomina.

Przyjdzie nam tutaj niejedną wdzięczny ustęp przetłumaczyć z francuskiego języka, który autorka wybrała dla wyrażenia swych myśli, jak to uczyniła i margrabina Bareith lub Hamilton, jak to zresztą było w modzie i u nas wtedy; przyznać jej trzeba, że odczuła wybornie lekki ton tej wszechświatowej mowy i umiała się nią posługiwać niemal artystycznie, tak, że powtórzywszy o niej można słowa listu Delilla do Izabelli Czartoryskiej pisane: „Nôtre langue, ou plutôt la vôtre; elle vous appartient par les grâces que vous lui prêtez, et j'oserais dire avec Voltaire: „Elle est à toi, puisque tu l'embellis“.

Więc oto najpierw wizerunek hr. Branickiej wedle słów pamiętnika.

„Prosta i skromna w upodobaniach swoich, choć szlachetna i wielka w swych czynach, wydawała na dobre uczynki sumy tak wielkie, jak jej mąż rozrzucił na zabawy i przyjemności wszelkiego rodzaju. Z godnością podtrzymując stanowisko, jakie jej urodzenie i majątek nadawały, umiała z nadmiernego zbytku ocalić liczne wsparcia, jakich nie odmawiała nigdy nędzy i nieszczęściu.

„Nikt w świecie lepiej jak ona nie dałby uwierzyć w możebność doskonałości, tak ogólnie zaprzeczanej. Pobożna bez bigoterii, dobra bez słabości, dumna i słodka, stanowcza lecz czuła, dobroczynna bez próżności, hojna bez wymagań, posiadała wszystkie przymioty, które każą cnotę — kochać. Umysł jej może nie wystarczyłby innej, ale nie można było pisać z większym wdziękiem, jak ona wyrażać się z większą wytwornością, czynić honory swego domu z większą godnością, a przytem zaj-

mować się z większą dobrocią tymi wszystkimi, których się ma około siebie.

„Moje dzieci, jak będziecie przejeżdżać przez Białystok, proszę was o pamięć dla niej i o wspomnienie dla mnie. Tam to spłynęły spokojne dni mojej młodości. Tam postanowionem zostało moje małżeństwo, i tam, po raz pierwszy widziałam śmierć... Matka moja rzadko kiedy opuszczała tę ukochaną ciotkę, a ja wychowałam się pod jej okiem. Zimy spędzaliśmy w Warszawie, na każde lato wracaliśmy do Białegostoku“.

Hrabina nie omieszczała też dać nam opisu pałacu, bo miło znać miejsca i otoczenie osób drugich a nawet i fikcyjnych których losy nas zajmują.

„Widziałam jeszcze pałac ten urządzony z rzadką wspaniałością. Tapicerzy francuzcy z wielkim kosztem sprowadzeni, przywieźli sprzęty, lustra, boizery, godne wersalskiego przybytku. Trudno wyobrazić sobie szerokie rozmiary tych salonów i przedsionków ozdobionych kolumnami z marmuru. Rozłożenie ogrodów i parków, zbytek rozmaitych cieplarni, piękność i obfitość drzew pomarańczowych, wszystko razem czyniło miejsce to siedzibą prawdziwie królewską“.

Towarzystwo też liczne przebywało w pałacu. Byli nawet emigranci francuzcy, co na owe czasy nie było nic dziwnego; między nimi rodzina Bassompierre'ów i lektorka kasztelanowej niejaka panna Duchêne, o której pamiętnik sporo daje szczegółów.

„Paryżanka z urodzenia, przebywała najpierw u pani de Tessé (przyjaciółki markizy de Créqui) i nietylko nabrała tam ogłady wyższego stylu towarzysztwa, lecz przyswoiła sobie przytem mnóstwo ciekawych dykteryjek. Była to jedna z tych uprzywilejowanych osób, które nigdy niczego nie zapominają, nietylko z tego co czytały, ale i co słyszały. Nazywano ją encyklopedyą wędrowną. Ponieważ żyła ściśle z moją nauczycielką, widywałam ją często i jej zawdzięczam w dużej części to niewiele, co

umiem. Pani de Bassompierre, której wychowanie było nader zaniedbane, jeszcze więcej miała jej do zawdzięczenia niż ja, bo panna Duchêne oddała się całemu sercem tej rodzinie.

W tem miejscu muszę uczynić przelotną uwagę, — jakże to daleko dziś od nas taki typ cudzoziemki, starej panny anegdociarki, rej wodzącej w wysokiej rodzinie, otaczającej ją jakąś atmosferą obcą, naleciałą, wywierającej przeważny wpływ na wychowanie młodego pokolenia. A jednak, niestety, takie okazy jeszcze się trafiają, coraz rzadziej, ale są, tu i tam, czyż nie, moje miłe czytelniczki? Zastępować je jednak trzeba swojskimi, świeższymi siłami, noszącymi w myśli i sercu jasną świadomość miejscowych naszych potrzeb i celów.

Wśród takiego otoczenia, mogła panna Tyszkiewicz nabyć i przyswoić sobie wszystkie wytworne uroki francuskiego języka, jak o tem sama wspomina.

„Wychowana wśród Francuzów, pochwyliłam z łatwością ducha ich języka i oddawałam się z upodobaniem ich literaturze. Lubiłam szalenie ich rozmowy, raz dowcipne, ulotne, błahe, raz pouczające i poważne, lecz zawsze wesołe i zabawne, nawet wśród rozpraw najdonioślejszych, do których polityka dostarczała treści. Bo to byli owi dawniejsi Francuzi, którzy, zresztą, śmiejąc się ze wszystkiego, starali się z życia czynić sprawę możliwie najmniejszej wagi“.

Uwaga ta o Francuzach, jeśli niezbyt pochlebna, świadczy o bystrej spostrzegawczości autorki, która w tym sądzie nie należy bynajmniej do najpobłażliwszych pamiętnikarzy owej epoki. Życie w Białymstoku schodziło bardzo przyjemnie i nader inteligentnie. Ranki każdy miał wolne, jedni pracowali, drudzy się bawili. Tolerancja pani kasztelanowej szła tak daleko, że nikt, nawet z najbliższych, nie był obowiązany bywać na mszy, którą codziennie jednak odprawiano. Dzwonek o trzeciej zwiastował obiad, sygnał zejścia się wspólnego. Wiezorami, codziennie między siódmą a dziesiątą, czytano w salonie, gdzie jedynym warunkiem dla obecnych było zachowanie milczenia. Krótki ten przeciąg czasu przeznaczony był przez kasztelanową dla utrzymania wątku wiadomości politycznych i nowości literackich.

„Gdy tych ostatnich brakło, wracano do klasyków. Czytano Corneille'a, Racine'a, i nawet Iliadę i Odyseję w francuskich tłumaczeniach. Po skończonym czytaniu, otwierały się podwoje dla wszystkich, i rozmawiano. Starzy opowiadali, młodzi słuchali uważnie“.

Pani kasztelanowa była córką Poniatowskiego, przyjaciela i towarzysza Karola XII, i często a chętnie opowiadała o swoim ojcu i o szwedzkim bohaterze. Oto jedna z wielu anegdot, którą jej siostrzenica przytacza:

„Karol XII nie obawiał się żadnej potęgi na świecie, prócz, piękności; tylko piękna kobieta mogła sobie pochlebiać, że go czyni tchorzem — uciekał przed nią“.

Oznajmiono mu dnia pewnego, że jakaś młoda dziewczyna błagała jego sprawiedliwości dla swego ojca ośmdziesięcioletniego starca, którego żołnierze skrzywdzili. Surowy co do karności, chciał król natychmiast sam biedz do płaczącej, aby z jej ust usłyszeć szczegóły przekroczenia, lecz, zatrzymując się nagle, zapytał: „Czy ona piękna?“ A gdy mu dano odpowiedź, że przy wielkiej młodości jest i piękną wyjątkowo, polecił jej, przysłonić się, bo inaczej nie mógłby jej wysłuchać“.

Oto przynajmniej jeden bohater, który nie zgorszył nigdy młodych kobiet, jeśli przeciwnie to nie jest oburzającym, jak wielu przyzna, żeby sobie odmawiać tak niewinnej przyjemności, jak widok pięknego oblicza, które jest zawsze jednym z najosobliwszych i najbardziej uroczych pomysłów Stwórcy.

Z licznych opowiadań astrologicznych, przesądnych przepowiedni i tajemniczych baśni, odziedziczonych po ciocie kasztelanowej, przytoczymy tu jedynie bardzo ładniutki urywek, sentencję moralną, po szeregu zabobonów, który w oryginale przypomina owe subtelne stylowe kwiatki, rozsiane w literaturze kobiecej XVIII wieku.

„Niech żyją dawne, dobre czasy, w których wierzone we wszystko! Przedewszystkiem wierzone

w Opatrzność, i to upraszczało wiele rzeczy. Wierzone w cnotę, i w odporność przeciw złym skłonnościom.“

Wierzone w cuda, wierzone w niewyrachowaną miłość, w poświęcenie w przyjaźni, wierzone nawet we wdzięczność!

Po zwierzeniach poważnych, następowały zwierzenia przyjemne i zdrożne, które sobie wyrzucano i z których trzeba się było spowiadać.

Wierzone w uroki, w przeznaczenia, we wróżki, w astrologów, w upiory! Wierzenia te rozmnażały poetów, fantastów, sekcjarzy, bohaterów i szaleńców!

Teraz, mocne ludzkie głowy, umysły głębokie i pozytywne, w które nasz wiek obfituje, w nie już wierzyć nie chcą, albo też jeśli wierzą, to tylko już w giełdową zwyczaję lub zniżkę!“

W Pamiętniku Potockiego zajmuje też swoje miejsce przyjaciółka lat młodzieńczych, jeden z wielkich skarbów pierwszej życia doby, którego danem było użyć naszej autorce i odczuć rzewny urok wzajemnej skłonności dwóch serc świeżych i wrażliwych, jak to dobrze wyraził poeta:

Serce moje mi rzekło swą wewnętrzną mową:
Ze dusza jest pokrewną z drugą siostrą-duszą,
Która jest jej istoty pokrewną połową,
A choć świat je rozdzielił, one w tłumie ludzi
Weześnie, później z radością napotkają się musza,
I prąd niezłomnych przeczuć wzajemność ich wzbudzi.

„Między młodem kobietami — mówi p. Potocka — do których los mnie zbliżył, napotkałam panią Sobolewską. Coś mnie do niej ciągnęło, lubiłam niesłychanie słodczy jej twarzy i jej obejście. Kilka lat starsza odemnie łączyła do swych przymiotów tyle skromności i niemal pokory, że niepodobna było zazdrościć składanych jej hołdów, którymi ona sama zdawała się być zdziwioną.“

Gdy umysł jej przyjemny i wykształcony wymknął jej się kiedy ze *stricte reserve*, w jakiej go trzymała, była wtedy uroczą i mało widziałam kobiet tak powabnych jak ona, kiedy *ośmielała się* być powabną. Dusza jej owiewała wszystkie jej uczynki czemś wzniosłym i czystym, a ja lepszą się czułam przy każdym z nią rozstaniu.

Kochałam ją najpierw przeczuć; nabrawszy rozwagi, miłowałam ją za jej doskonałość i kochać ją będę całe życie, bo przywiązanie to stało się potrzebą i przyzwyczajeniem mego serca. Nigdy nie miałam dla niej jednej myśli tajemnej, ani uczynku, nigdy mnie też ona nie widziała lepszą niż jestem. Biegłam składać w jej sercu moje troski, moje nadzieje, moje radości i moje żale, i znajdowałam u niej zawsze wyrozumiałą przyjaźń, wierność w każdej próbie i towarzystwo najmiłsze i najprzyjemniejsze“.

Ale oto zbliżał się czas małżeństwa panny Tyszkiewicz i dodać wypada słówko o powierzchowności pięknej dziedziczki. Zachował się ładny portret z końca ubiegłego stulecia, malowany przez Angelikę Kaufman, na którym przedstawiona jest w wdzięcznym układzie, z arkuszem papieru rysunkowego w ręku i z ołówkiem, jakby ten portret ilustracją był owego miejsca w pamiętniku, gdzie autorka mówi o sobie: „obojetna na wszystko, co nie dotyczyło wyobraźni, byłabym chętnie rysowała dzień cały“.

Twarz jest ożywiona i uśmiechnięta, usta dość wydatne, nos nieco za duży, ale oczy bardzo piękne, oświetlające całe oblicze duchowym swym blaskiem. Głowę otaczają ciemne loki i turban lekki, z białego muszliny, podobny do tego, jaki widzimy na portrecie pani Vigée-Lebrun, przez nią samą robiony, w galerii Florenckiej.

Anna Tyszkiewicz, była jedynaczką, odziedziczyć miała dwie wielkie fortuny; należała do najwyższej szlachty, była pełną inteligencji, o wyobraźni żywo rozbudzonej, bardzo starannie wykształcona, pociągającej powierzchowności — słowem, była tem, co nazywamy — świetną partją.

Żeby ten wizerunek był zupełnie dokładnym, uzupełnić go wypadnie jeszcze jednym rysem wybitnym w charakterze hrabiny: — miała duszę *romantyczną*; czasy „Corinny“ i „Delfiny“ zbliżały się. Buntowały się lub rozgoryczały umysły ludzkie, nie mogąc swego życia dociągnąć do wielkiej miary, młodzi ludzie chorować zaczęli na „*weltschmerz*“, młode panny na „*nieokreśloną tęsknotę*“ za bohaterami

mi i rycerzami, co utrudniało niejednej wybór męża, a niejedną narażało na niepowetowaną stratę czasu. U naszej bohaterki stan tej patetycznej epidemii nie trwał długo, przełom między marzeniami bujnej wyobraźni a rzeczywistością był krótki. Zgłaszała się licznie o rękę pięknej i bogatej panny.

„Ale ja pragnęłam bohaterów z Racine'a, — powiada sama — rycerzy podobnych do Taurced'a, potrzeba mi było namietności głębokich, uczuć szybkich, doraźnych, czynów wielkich i wzniosłych!... Czekalam. Widząc jednak w końcu, że ani Brytanikus ani Gonzalor z Kordowy się nie zjawiają, i nawet przypuszczać nie mogłam spotkania z jakim Grandiserem, przystałam w końcu na zstąpienie z obłoku i rozmyślałam smutnie, że trzeba mi będzie skończyć na zwykłym małżeństwie, pokierowawszy się rozsądkiem i zwyczajem.“

Zstąpiwszy ze swego „obłoku“, panna Anna Tyszkiewicz spotkała pana Aleksandra Potockiego, czyli raczej zezwoliła, aby on do niej się zbliżył.

„Ponieważ i on był jedną z pierwszych partii — pisze autorka dalej, — przyjęty został bez namysłów, rodzice nasi ułożyli wszystko na listy i pan Potocki przybywając do Białegostoku, wiedział naprzód, że nie dostanie odmowy.“

„Czuje do dzisiaj tę chwilę, gdy powóz jego wjeżdżał na podjazd zamkowy. Był to kwietniowy wieczór (1805 r.), z powodu kataru trzymano mnie w moim pokoju. Dźwięk trąbki pocztowej zbudził moją uwagę; pobiegłam do okna i ujrzałam młodego człowieka wyskakującego bardzo zrećźnie z podróźnej karety i wchodzącego szybko na schody terasy. Od razu powiedziałam sobie, że to nie może być kto inny tylko oczekiwany nasz podróźny. Wzruszenie, jakiego doznałam, było bardzo podobne do strachu!... cóżbym była dała za to, aby mój odłożony do jutra to pierwsze spotkanie!“

Ale nie radzono mi się o to, i zobaczyłam matkę moją wchodzącą pod rękę z p. Potockim

Z dalekich on wracał podróży, — wyborne źródło dla rozmowy przy pierwszych odwiedzinach. Mówił nam rzeczy bardzo zajmujące o Londynie, Paryżu... widział *wielkiego Napoleona*!... Pod tym jednak względem za mało mi się wydał wymownym, opowiadał bez zapału to, co widział i nie był bynajmniej olśnionym — taką sławą!

Podano herbatę; przyglądaliśmy się sobie wzajemnie. P. Potocki widział mnie kiedyś, dawniej bardzo młodziutką u mojej matki, a ja sobie przypominałam wrażenie, jakie mi wówczas zostawił, pysznego dandysa nie raczącego mówić z takimi podlotkami!“

Teraz było inaczej: „*Nous nous retrouvons à cet âge heureux, ou le temps, après avoir mis la dernière main à son ouvrage, semble s'arrêter pour en jouir, quitte à se dedommager plus tard de ce moment d'arrêt.*“

Ładniutkie zdanie, trochę „a la précieuse“, pachną w niem wszystkie perfumy elegancie, napełniające wyższy świat XVIII wieku.

„Patrzyliśmy na siebie ukradkiem i doznawaliśmy zmieszanych uczuć niespodzianki i przyjemności; byliśmy więcej zadowoleni naszym losem niżśmy się tego spodziewali. Po upływie trzech tygodni uczuliśmy, że się znamy już dobrze i odpowiadamy sobie wzajemnie.“

Wkrótce potem odbył się w Wilnie ślub pięknej pary i tutaj zatrzymują się wspomnienia młodości p. Tyszkiewicz.

Wielkie wydarzenia pochłonięły uwagę świata i pamiętnik też p. Potockiej przepełniony jest dalej chwałą Napoleona, dla którego odczuwała kult prawdziwy uwielbienia, którego widziała w Warszawie i widywała często w Saint-Cloud przyjmowana w ścisłym kółku dworskim. Były to jeszcze w pełni czasy zapału dla wielkiego geniuszu.

Gwiazda jednak opadła z zenitu na wyspę Św. Heleny, wielki cios wzbudził wielkie współczucie. Olbrzymi człowiek zyskał wszechświatową sympatię. Duch francuski, literatura, obyczaje, język francuski opanowały świat cały, narody i jednostki i do dziś pokłady tego entuzjazmu wyłaniają się niewyczerpaną ilością dzieł i wspomnień. Inteligentny umysł młodej, pełnej fantazji kobiety, olśnił się tak dalece sławą bohatera i wielkością Francji, że, naszym zdaniem, zadaleko to posuwa, mówiąc, że gdyby jej dano było rozpoczynać na nowo to ciężkie zada-

nie jakie się nazywa życiem, — „c'est Française, que je voudrais renaître!...

Pamiętnik ten wogóle rzuca dużo światła na rodzaj umysłu autorki: zdolności nie świetne lecz żywe, wyobrażenia jaskrawa lecz czeza trochę, uczucia więcej egzaltowane niż głębokie.

Los ją rzucił do tego: „délieux pays,“ gdzie porwaną została przez prąd wielkich wypadków, wrażeń i wpływów, który unosi za sobą społeczeństwa i jednostki.

Nie będąc przecie bezwiedną kroplą w morzu, czuła potrzebę każdej niepospolitszej istoty pozostawienia po sobie jakiegoś wspomnienia trwalszego, chociażby w kształcie pamiętnika swych osobistych myśli i uczuć, któremu i my dziś poświęciliśmy to krótkie chociaż literackie-memento.

Szczesna.

„CZEMU.“

Czemu ja żyję w światowych złudzeniach,
I w niedościgłych gubię się marzeniach,
I chciałbym ludziom przez całe ich życie
Rozpraszać ciemność, jak gwiazdy w błękitach,
Ogrzewać serca, jak słońca promienie,
Jak rosa gasić ich duszy pragnienie,
I chciałbym śmiechem zagłuszyć świat cały,
Zbierać łzy z oczów—wskrzeszać ideały,
Niebiańską na świat sprowadzać pogodę,
I chciałbym szczepić wśród ludzkości zgodę,
Ożywiać kwiaty ich czynów, gdy wędna
I chciałbym żyjąc, żyć prawdą bezwzględna,
Po co, gdy życie jest jak morska pianka,
Rzucona morzu, jak cudza kochanka,
Niesiona wichrem, wśród bałwanów drżenia,
Czepia się brzegów jak rozpacz złudzenia,
I nie ocala już ją siły żadne
Wiatr ją rozprasza i idzie na marne
Więc jeśli życie niemoc w sobie kryje
Czemu ja żyję?

Stefan.

KĘDY DROGA?

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

(Dalszy ciąg).

III.

Waciu, Irenko, dość tej zabawy! Ciozia będzie się gniewać... Taki hałas robicie!

— Mateczko, kiedy my się tak ładnie bawimy... Oóż to cioci przeszkadza?

— Cioci wszystko przeszkadza... — zauważyła z grymasem Irenka.

Zosia zajęta robotką podniosła głowę.

— Skoro wiesz o tem, nie powinnaś narażać mamy na wymówki cioci, a siebie na napomnienie—wyrzekała z powagą.

Dziewczynka zarumieniała się. Nie zważając na zasępioną minę Wacia, usiadła przy siostrze.

— Nam to nawet bawić się niewolno jak innym dzieciom... — szepnęła z dąsem.

Zosia spojrzała na nią z wyrzutem.

— Ty zawsze o sobie tylko myślisz, Irenko — rzekła półgłosem. — Spójrz na mamę...

Orzełińska miała znowu głowę nad robotą pochyloną i nie zwracała już na dzieci uwagi. Oczy jej czerwonymi obwódkami otoczone, przypatrywały się z natężeniem delikatnemu deseniu który służył za wzór do istotnie pięknego haftu. W całej postaci przebiegało zgnębienie, z twarzy wszelkie pozory młodości i ożywienia zniknęły.

Kilka miesięcy nocy niespanych, zawodów, troski o przyszłość pozostawiły niestarte ślady.

— Ciozia idzie... — zawołał nagle Wacek wyglądając na podwórzu oknem.

Drzwi się otworzyły, do pokoju weszła niemłoda kobieta o rysach twarzy ostrych i surowem wejrzeniu. Wielki ogrodowy kapelusz rzuciła na stół zniecierpliwiona i opadła ciężko na krzesło.

— W ogródku znowu rabaty podeptane — odezwiała się twardym głosem zwracając się do Orzełińskiej — Tyle razy prosiłam cię już moja kochana, abyś zabroniła dzieciom robić spustoszenia w ogrodzie. Na ulubionej mojej jabłonce dwóch jabłek brakuje... Oczywiście, wiem aż nadto dobrze gdzie winowajcy szukać...

Odwrociła się do Wacka druzgocząc go wzrokiem.

Orzełińska popatrzyła na syna badawczo.

Niedawno jeszcze byłaby śmiała, z oburzeniem odparła uwłaczające i jej i dziecku podejrzenie.

Chłopiec spuścił oczy i zarumienił się. Wzrok matki smutny, pełen wyrzutu upokorzył go i zabolął.

Irenka z wyzywającą miną rzuciła ukośne na ciotkę spojrzenie.

— Waciu był głodny — odezwiała się rezolutnie — bo ciozia nie pozwoliła mu dać śniadania za to, że nieumyślnie nadeptał kota.

Ciotka zerwała się z krzesła.

— Tego tylko brakowało, żebym w moim własnym domu nosiła zuchwałstwo — zawołała z gniewem. — Śliczne wychowanie! Oto do czego prowadzi pobłażliwość matki.

— Kochana Karolino — próbowała uspokoić ją Orzełińska, ale to nie było łatwe.

— Nieznośne, krnąbrne dzieciaki! — powtarzała rozirytowana — one cię za głowę niedługo wezmą, nie sobie z ciebie nie robią, nie słuchają... Slamazarna jesteś i nie umiesz dziećmi kierować...

Ciemny rumieniec oblał twarz Orzełińskiej. Delikatną, szlachetną jej naturę ranił dotkliwie taki brak taktu i wszelkiej uwagi na obecność dzieci ze strony krewnej, której zadaniem życia było nieledwie dokuczać jej na każdym kroku.

— Irenka i Waciu będą oczywiście ukarani — ozwała się po chwili. — Tego możesz być pewną Karolino. Zosia dopilnuje, aby żadne z nich nie wychodziło dziś z pokoju.

Po chwili, zasmuczone dzieci odeszły; Zosia pełna miłości spojrzenie rzuciwszy matce, z twarzą pobladłą i drżąciami od tłumionego płaczu usteczkami udała się za nimi.

Orzełińska opuściła robotę na kolana. Wzrok jej, przyémiony wzruszeniem nie był w możności odróżnić delikatnego deseni haftu, drżąca ręka utrzymać igły.

— Kochana Karolino — rzekła po chwili łagodnie lecz z mocą — wszystkie uwagi przyjmę z uległością, byłś mi ich w obecności dzieci nie udzielała. To jest bardzo dotkliwie! Wczoraj zarzucałaś zmarłemu ich ojcu i często się to przecie powtarza — że zniesławiał nazwisko a mnie żem nie umiała uratować chociaż części majątku...

— Alboż nieprawda? — zawołała p. Karolina. — Chyba nie nie przesadziłam; prawdy nie ma się co wstydyć. Niech dzieci wiedzą właśnie że rodzice źle postępowali; będą się strzegły pójść tą samą drogą.

— Można przecie inaczej wpływać na nich...

— Wszystko jedno! — mruknęła niechętnie p. Karolina. — Narobiliście głupstw, i o to tamten biedak życie sam sobie skrocił a ty nie nie posiadasz i cudzej łaski potrzebujesz...

— Zbyt często mi to przypominasz, Karolino — szepnęła z żalem Orzełińska.

P. Karolina udała że nie słyszy.

— Gdybym ja na przykład została w takich jak ty warunkach po śmierci męża, inaczejbym interesami pokierowała — rzekła. — Po pierwsze, nie była-

bym zapłaciła karcianego, czyli jak go głupcy nazywają honorowego długu męża chociażby ni sto kwitów ręką jego podpisanych przedstawili. Palićki z pewnością nie byłby cię skarżył. Byłabyś tymi dwoma tysiącami rubli opłaciła Towarzystwo Kredytowe i podatki — zamiast sprzedać zboże na pniu dla ich opłacenia. To ci zaraz na wstępie grunt pod nogami poderwało. Po drugie, byłabym natychmiast odprawiła rządę i połowę służby, bo z nim trzymali i razem kradli. A po trzecie, ponieważ znam się doskonale na mężkiem i kobiecem gospodarstwie, byłabym sama krótko w ręce wszystko wzięła, dobrała sobie odpowiednich pomocników i wszystko poszło by jak po maśle.

— Niepodobna było dojść z nimi do ładu, wierzaj mi Karolino, — łagodnie wtrąciła znowu Orzełińska.

— Wierzę, — roześmiała się ironicznie p. Karolina. — Alboż ciebie nie znam? Gdzie ty dziesięć razy przeszłaś i nie nie dopatrzyłaś, tam dość było jednego mego spojrzenia. Nie mówię bynajmniej, że ci się nie chciało pracować, bobym skłamała. Byłam przecie z ciebie kilka tygodni i widziałam, że siebie nie żałujesz ale, prawdę powiedziawszy, całe to twoje zabieganie nie nie było warte. Urodziłaś się wielką panią i taką umrzesz. Zawsze wolałaś sama stracić przysuszę rubla, niż żeby kto drugi kopiejkę stracił przez ciebie. Z takim pańskim usposobieniem nie daleko człowiek zajędzie. Od dzieciństwa zachwycali się wszyscy twoją łagodnością, słodyczą, tklivością etc. Bardzo to cenne przymioty dla wielkiej damy, mającej duży majątek i opiekę męża, ale w twojem położeniu niemożliwe. Pięknie ci się przysłużyły. Służba wraz z rządą robili co chcieli, chłopcy wypasali łąki i zboża a wszyscy razem kradli potężnie. A ty co! Byłaś cię winowajca zaczął przeproszać, żonę, dziećmi drobnymi się zastawiać, wszystko przebaczyłaś. I też szło co raz gorzej, bo zbyt pobłażanie najgorsze skutki pociąga za sobą. Moja kochana, czego jabym na twojem miejscu nie zrobiła przy takich szczęśliwych warunkach w jakich była Zambrówka.

Orzełińska siedziała przybita, zgnębiona.

— Wacław, wiesz o tem przecie — nie pozwalał mi wtrącać się do gospodarstwa i interesów, — odezwiała się nieśmiało.

— Powinnaś była pokonać jego uprzedzenia, Ireno, — odparła energicznie p. Karolina. — Biada małżeństwu gdzie żona uważana jest jako wykwinny sprzęt lub bezmyślna istota, nie umiejąca trzeźwo i porządnie patrzeć na powszednie a przecie tak ważne sprawy życia. Powinniście byli wzajemnie się dopełniać, wzajemnie kształcić i urabiać. Łagodny ale rozsądny wpływ kobiety wiele zdziałać może. Jakiem prawem ma ona się usuwać od udziału w troskach, od pracy wspólnej, od umiejętnej rady w interesach, w przedsięwzięciu każdym.

Orzełińska łzę otarła.

— To słuszne, to sprawiedliwe! — szepnęła. — Bóg widzi, że chciałam, pragnęłam...

— Oczywiście, ale to się na nie nie zdało — przerwała energicznie p. Karolina. — Trudno to zmienić nawyknięcia swoje, charakter, usposobienie. Gdzież jak nie w Zambrówce było właśnie pole do wyciągania korzyści. Majątek w świetnych postawionych warunkach. Łąki śliczne, paszy w bród; cukrownia i kolej pod boki, a więc zbyt produktów niesłychanie łatwy. Za samo gospodarstwo nabiałowe mogłaś mieć z 1,000 rs. rocznie. Warzywa, owoce dałyby drugie tyle... A u ciebie co? Ogrodnik się z sadowym zmawiali i wypuszczali sady za bezcen, warzywa na swoją rękę sprzedawali po za twoimi oczami, nie dziwnego, że ogrodnik, jak mi to sama mówiłaś, kolonijkę sobie kupił. Ot i wyszłaś z dziećmi bez niczego. A wszystkiemu winno delikatne wychowanie. Rodzice patrzyli na ciebie jak na święty obrazek, o niczem nie myśleli, tylko żeby jedynaczkę dla salonów wyedukować. Na dużo ci się przydała twoja gra na fortepianie i parlowanie obcemi językami. Dzieci ani siebie tem nie nakarmisz. A gdyby ci byli zamiast tych głupstw fach jaki w rękę dali, to byś z tymi 2,000 rubli co ci po sprzedaży Zambrówki zostały, najspokojniejszy byt sobie i dzieciom zapewniła.

Zadyszana długą mową p. Karolina, umilkła wreszcie i spojrzała z ukosa na kuzynkę.

Orzelińska siedziała nieruchoma, tylko niezwykle szybki oddech i rumieńce, które się na wychudłą, mizerną twarz jej wybiły o głębokiem świadczyły wzburzeniu.

P. Karolina mimo czerstwości serca, uczuła trochę litości i wyrzut sumienia.

— No, no, nie trzeba się znów tak bardzo przejmować,—odezwiała się po chwili. — Trudno! Tyś przecie nie winna. Co w mocy twojej, od tego się nie uchylasz... Ot i teraz ślęczysz po nocach nad tymi głupimi haftami, z których korzyści mało. Probowałeś, nie leniąc się i tego i owego, a że ci się nie udaje, cóż robić!...

Pokiwała głową, podjęła kapelusz ze stołu i brzękając kluczykami wyszła z pokoju.

Orzelińska została samą. Ścisniętej piersi ulżyło westchnienie i lży teraz już niepowstrzymywane płynąć zaczęły obficie.

— Prawda, wszystko prawda! — powtarzała upokorzona, zbolała. — I cóż z tego, że dzieci moje kocham nad wszystko, że się nie oszczędzam i chwytam roboty każdej, któraby im korzyść jakąś przynieść mogła. Nic nie umiem, i oto, usuwa mi się grunt pod stopami, jak żelazne okowy ciąży łaska krewnej, tak upokarzająca, bolesna! Chwilami powątpiewam, czyli to ja, ja istotnie potrafiłam wyzbyć się dumy, tej dumy dozwolonej najuboższemu, gdy chce sam sobie tylko zawdzięczać wszystko, czy to ja jestem, która teraz pochylam zarumienione upokorzeniem czoło, gdy co dnia, co godziny obrzucają mnie gradem wyrzutów, karzą jak dziecko przy dzieciach, zabijają w nich miłość i szacunek dla rodziców. A ja stoję bezsilna, bo wraz z gorzkimi słowami dają mi przytułek, skoro mnie brak uzdolnienia abym spełniła należycie powołanie swoje, jak brakło mi niegdyś siły do wywalczenia sobie głosu w obec męża. Czyż nie powinnam była rzeczywistą jego być podporą, nie załamywać rąk bezczynnie, ale ze stanowczością i energią ująć ster interesów być mocną, nieugiętą, gdy chodziło o przyszłość tych nieszcześliwych dzieci, które następstwa fałszywych pojęć matki i słabego charakteru ojca, dźwigać teraz muszą.

Nie tak przecie matka bronić pisklat swoich powinna, o nie!

Uległość, słodycz, poddanie się woli męża, ufność bezwzględna!...

Ależ tak, tak! Byle nie wtedy gdy ten, który ma być kierownikiem, przykładem, który ma prawo pierwszego głosu w rodzinie, obłąkać się pozwoli namiętności głuchej i ślepej na krzywdy jakie wyrządza. Czemuż tak ściśle określono zakres moich myśli i obowiązków, czemu nie nauczono mnie pojmować lepiej stanowisko współniezki losów mężczyzny. Byłabym się względnie tylko poddała jego kierunkowi, bez owego ślepego zaufania, które w mężu widzieć każe doskonałość i ulega mu ślepo. „Nie wtrącaj się nigdy do interesów męża, bądź łagodną, tkliwą, przebaczącą... Nie zapominaj, że mąż posiada przywilej najwyższej władzy...” Temi słowami zegnała mnie matka, gdy dom rodzicielski opuszczała.

Tak! ale władza potrzebuje siły i rozumu...

Nie powinnam była milczeć, nie powinnam była ulegać ani zbyt łatwo wybaczać! Nie o mnie lecz o dzieci chodziło.

Pochyliła głowę pod naciskiem myśli przegryzających mózg i serce. Nie pierwszy to raz z piersi jej wydzieraa się skarga.

Spojrzała na delikatne hafty, które terminowo wykończyć musiała i z oczyma załzawionymi podjęła robotę.

— Nawet na smutek i cierpienie pozwolić sobie teraz nie mogę... — wyszeptala z gorzkim uśmiechem. Wraz z falą ciepłego, jesiennego powietrza, ostry o suchem brzmieniu głos p. Karoliny przez wpół odchylone okno dostał się do pokoju.

Orzelińska drgnęła.

— Czy znów co nowego? — wyrzekła z obawą, która się mocnym rumieńcem na licach jej odbiła.

P. Karolina stryjeczna siostra nieboszczyka Orzelińskiego, w charakterze swoim nie posiadała czułości i żądnej ani łagodniejszych, cieplejszych uczuć w sercu zasklepionem egoizmem oddawna.

Przygarnęła wprawdzie owdowiałą kuzynkę i jej dzieci, ale uczyniła to raczej dla zadowolenia próżności, aniżeli z potrzeby serca.

Wszak świat będzie o tem wiedział, dziwił się, uwielbiał! Takie poświęcenie! I spokój i ład domowy zburzony i koszt... Tylu nawyknień, tylu wygod wyrzec się musiała dla tej wdowy biednej i jej dzieci.

P. Karolina gotową była sama sobie za życia jeszcze pomnik postawić.

Stetryczała w samotności, bo dzieci własnych nigdy nie miała a męża w parę lat po ślubie pochowawszy, przywiązała się jedynie do listów zastawnych, od których kupony odcinała z rozkoszą.

Szczębiot dziecięcy drażnił ją, gniewał uśmiech, nie umiała zrozumieć potrzeb i wymagań tych istot młodych którym swoboda i słońce jak roślinom potrzebne były.

Stąd bezustanne wynikały kwasy i nieprzebrane źródło udręczeń dla Orzelińskiej.

Co jednak począć miała? Nie wolno jej było marzyć o tem, by sama dom prowadzić mogła. Wprawdzie dokładała nieco do potrzeb codziennych, ale skromna ta kwota na stworzenie samodzielnego bytu, nie wystarczyłaby.

— Byle tylko Oleś skończył gimnazyum i uniwersytet,—mówiła, krzepiąc się nadzieją.

I też wyciągała się jak mogła, pracowała, oszczędzała, tłumiła w sobie ból i upokorzenie.

— Szewcem zrób syna, stolarzem, ślusarzem... — dowodziła zwykle p. Karolina. — Szlachectwo i dumy wielkopańskie powinnaś była w Zambrówce zostawić.

Smętny uśmiech przewijał się wtedy po ustach Orzelińskiej.

Pani Karolina była demokratką. Pomiedzy nią, a familią, istniało nawet pewne nieporozumienie wskutek megaljansu jaki uczyniła, poślubiając Nikodema Mrówkowskiego, którego drzewo genealogiczne szlacheckimi nazwiskami poszczycić się nie mogło.

P. Nikodem posiadał za to weale ładny folwarczek i serce poczciwe a pretensyi do świata żadnych. Do samej śmierci dziwił się temu, że go p. Karolina Orzelińska wybrała. Wprawdzie szlacheckie fanaberye ojca zjadły posag córki, ale zawsze ród piękny i gdzież tam jemu, Mrówkowskiemu, do szlachcianki karmazynowej, choćby ubogiej.

Panna Karolina umiała jednak zręcznie kawalera ośmielić. Ksiądz proboszcz roli swata się podjął bo lubił oboje, a nawet poczciwość p. Nikodema wysoko cenił i pobrali się wkrótce ku wielkiemu zgorszeniu nieboszczyka Wacława Orzelińskiego i reszty familii, z wyjątkiem ojca panny Karoliny, który już wtedy z podagrą wojując, obojętnie wszelkie sprawy tego świata traktował.

Wybór ten dowodził, że p. Karolina rozsądnie na życie patrzeć umiała. Brzydka była, bezposażna a latka biegle... Za czem miała czekać?

Prawda atoli wyznać każe, iż kroku tego nie żałowała nigdy.

Opłakawszy, nawiasem mówiąc zupełnie szczerze, przedwczesną śmierć swego małżonka, folwark sprzedała i osiadła w miasteczku gdzie nie potrzeba było szukać o milę kościoła. gdzie poczta przychodziła regularnie, apteka i doktor byli na zawołanie, a w środy i piątki na kawę poobiednią z sucharkami, zbierały się przyjaciółki, z pełnemi torbami nowin.

P. Karolina Mrówkowska posiadając ładny domek na przedmieściu ze starannie utrzymanym ogrodem cieszyła się poważaniem ogólnem.

A to właśnie było jej słabością, żeby ją ludzie chwalili, podziwiali.

Ubodzy w mieście X, słabostce tej zawdzięczali smaczny krupnik i poreye chleba wydzielane z kuchni filantropki w każdą niedzielę i święta, sieroty w ochronie, pięknie ustrojoną choinkę wigilijną i t. d. i t. p.

Raz nawet podczas panującej epidemii, p. Karolina posłała zarządowi szpitala rs. 200 na miętę i herbatę dla chorych, za co otrzymała publiczne w gazecie podziękowanie.

To ostatecznie skłoniło jej serce ku pięknym czynom miłosierdzia.

„Zabierz dzieciaki i przyjeżdżaj do mnie kochana Ireno, skoroście już Zambrówkę przeszastali...” napisała wkrótce potem do Orzelińskiej, rozkoszując się zawczasu podziwem i zachwytem przyjaciół swoich i przyjaciółek.

Orzelińska na razie nie wiedziała co odpowiedzieć. Wykolejona z dotychczasowych niezależnych warunków lękała się, czy propozycja ta, nie wypłynęła właśnie wskutek świadomości, że uboga krewna pozostała bez dachu nad głową; czy więc nie będzie to rodzajem dobrodziejstwa jakiegoś, łaski której ona przecie przyjąćby nie mogła. Cała jej duma buntowała się przeciwko temu.

— Niech pani jedzie — namawiała Dembińska, gdy jej się z obawami swemi zwierzyła. — Wypocznie pani i łatwiej potem będzie skupić myśl i coś na przyszłość obmyśleć. I tęsknota po Zambrówce łatwiej się ukoi, gdy się lży na kochającej piersi wypłaczę...

Orzelińska uśmiechała się z goryczą.

— Chleb łaskawy... — szeptała. — Nie nawykłam...

— Tymczasem gościna tylko — perswadowała staruszka. — Niech panią zbytnia duma nie unosi i cięższem jeszcze nie czyni dość już smutnego położenia. Co robisz, robisz dla dobra dzieci; należy o tem pamiętać.

Istotnie, dać rozigranym nerwom odpoczynek jakiś, sama Orzelińska uważała nieledwie za konieczność. Tyle w ostatnich czasach przeżyła, taki ból sprawiło jej rozstanie z Zambrówką, że im prędzej się od wspomnień tych oderwie, tem lepiej dla niej i dla tej mrocznej przyszłości, o której myśleć nie przestaje.

Pojechała. P. Karolina, choć nie sympatyzowała dawniej ze sobą, powitała kuzynkę serdecznie, ale z wyniosłością pewną, zaraz na wstępie zaakcentowaną.

— Domek mam obszerny i wygodny — mówiła. — Ogród mój, za wzór najlepszym ogrodnikom stawiają... Niechajże dzieci wiedzą o tem, że nie tam ruszyć, ani popsuć nie można. Za owoce, tutejsze owocarnie doskonale mi płacą, bo jak ci wiadomo Ireno, nie jestem arystokratką, która się oskubywać ludziom pozwoli... Dzieciom też zrywać owoców nie wolno...

Orzelińska zrozumiała docinek i zarumieniła się.

— Dzieci moje są tak wychowane iż bez zapowiadania nawet kochanej kuzynki, niczego w ogrodzie nie ruszą i nie zepsują... — wyrzekła dotknięta. — Gdybym tu przybyła jako właścicielka Zambrówki, z pewnością Karolina nie ośmieliłaby się uczynić mi podobnej uwagi, — pomyślała z goryczą.

Tego samego dnia jeszcze, przy kawie poobiedniej z sucharkami, spożywanej w towarzystwie przyjaciółek pani Karoliny, duma Orzelińskiej niejednokrotnie draśnięta została.

Zebrane panie patrzyły na nią jak na intruza a gdy p. Karolina ze zwykłym sobie brakiem taktu o smutnych dziejach Zambrówki opowiadać zaczęła, nieszczęśliwa kobieta zaledwie potrafiła nad wzburzeniem swoim panować.

Po tygodniach kilku, poznawszy bliżej kuzynkę, Orzelińska struchlała.

— Nie mogłabym żyć w takich warunkach, — powtarzała zgnębiona. — Ulegać kaprysom, pozwolić się upokarzać, słuchać w milczeniu gdy co chwila niemal rzuca mi w oczy dobrodziejstwami, tyraniżuje dzieci, które już wdzięk i swobodę młodości zatraciły wobec trwogi, jaką widok ciotki biedactwa przejmuję... To niepodobna! Ubóstwo raczej, praca choćby najcięższa...

Trudno jednak było istocie do walki z losem nieprzygotowanej, coś przedsięwziąć, obmyśleć. Każdy projekt piętrzył się przed nią górami nie do przebycia. A tymczasem utrzymanie Olesia w Warszawie, uszczuplało maleńki fundusik, opłacenie pensyi dla Zosi i rozmaite bieżące, nieuniknione wydatki, pochłaniały rubel za rublem przejmując ją trwogą nieopisaną.

— Gdybyś miała gruntowniejsze wykształcenie, mogłabyś założyć pensyjkę — mówiła p. Karolina, której powiększone przybyciem kilku osób wydatki cięższe już zaczynały. — Pieniądze ci się rozejdą...

Orzelińska wstrząsnęła głową z rozpaczą.

— Uczyłam się w domu, przy guwernantkach, nie mam patentu... Może prędzej magazyn strojów czy sklep jaki? Zabije, zdławię w sobie dumę i będę najskromniejszą z pracownic skoro najmniej umiem...

P. Karolina wybuchnęła śmiechem.

— Po czemu sprzedawałaś te wyborne gruszki z mego ogrodu? — spytała z szyderczem spojrze-

niem.—Zawadzki się chwalił wczoraj przed sędzią, że bardzo tanio kupił... „Szczeście — mówił, — że ta młoda sprzedawała. Pani Mrówkowska lepiej umie swój towar cenić... Najkorzystniej, z prawdziwą damą mieć interes. Wstydzi się, czy nie potrafi targować...”

Ot i masz odpowiedź na twoje projekta otwierania sklepów, magazynów i t. p.

Orzelińska zarumieniała się.

— Zawadzki tak narzekał—szepnęła. — Lękał się czy nie przepłacił, czy amatorów znajdzie...

— A widzisz! — zawołała z tryumfem p. Karolina.—Jak ciebie łatwo oszukać. Gdybyś była praktyczniejszą, wiedziałabyś, że stary filut trzy razy więcej na tych gruszkach zarobi. Budkę miał z wodą sodową i piernikami, gdy się do miasta naszego sprowadził, a dziś? Owocarnia urządzona elegancko; towar wyborowy a dla córki, mówią, że już posag zebrał. Ale się o kopiejkę targował z tobą, nieprawdaż? A potem cię wyśmiał... Bardzo naturalnie. Twoje arystokratyczne nawyki kazały ci nawet o tem zapomnieć, że z cudzej kieszeni szafujesz...

Orzelińska zerwała się z krzesła zmieszana, wyłękła.

— Nie przypuszczasz chyba Karolino, — usprawiedliwiała się, — abym na szkodę twoją działać chciała. Istotnie targować się nie potrafię...

— Wiem, wiem! Dlatego moja kochana, córki twoje posagu nie będą miały i ja też o zastępstwo w ogrodzie już cię nie poproszę...

Orzelińska miledzała, przynębiona. Tak! inne pojęcia, inne wychowanie! Oczywiście, Orzelińska w domu krewnej swojej, to jakby delikatny kwiatek heliotropu pomiędzy kartoflami zasadzić. Probowala wprawdzie zastosować się do otoczenia, na próżno!

Dzień każdy w ten sposób przeżyty, był dla niej męczarnią. Szorstkie obejście ciotki z dziećmi, powiększało ją w dwójnasób.

— Co ja pocznę, co ja pocznę? — myślała, łamiąc się z tą rozpaczliwą bezsilnością, która każdy krok jej paraliżowała. Po dzisiejszej sprzeczce jednak postanowiła bądź co bądź na coś stanowczego się zdobyć. Upokarzające obejście p. Karoliny mogło niekorzystnie na dzieci wpłynąć. Czy tylko już nie wpłynęło?...

Nagana jaką otrzymał Wacek za zerwane bez wiedzy ciotki jabłka, upokorzyła ją niezmiernie i przejęła trwoga.

— Dzieci w takich nieprzyjaznych warunkach zaczynają tracić ambicję—mówiła sobie z rozpaczą, odrzucając robotę i ze wstrętem niedługo przylgądając się swoim drobnym, wydelikacowanym ręką.—Czy onby to dawniej był uczynił? Ale dawniej, usuwałam je od wszelkich szkodliwych wpływów, czuwałam nad nimi bezustannie i—dzieci moje, głodem nie były nigdy karane...—wybuchnęła ze łkaniem, które jej piers rozpierało. Czula, że dzieje im się krzywda, a nie miała dość siły by je uchronić od niej.

To jej sprawiało ból nieznośny.

Gdy w parę godzin potem Zosia przybiegła do matki, zastała ją we łzach, z głową rozpaloną i wypieczonymi na policzkach rumieńcami.

Miotające nią uczucia odbiły się i na delikatnej robocie którą z pośpiechem wykończyła.

Piękny haft niestety inaczej na papierze a inaczej na batuscie wyglądał.

Z takim mozołem od dni kilkunastu haftowany penioar, okazał się niemożliwym do oddania właścicielce.

Zosia z przerażeniem spoglądała to na matkę, to na tatę. Nawet do ręcznej roboty potrzeba bezwzględnej uwagi i myśli swobodnej.

— Co teraz zrobimy, mameczko? — pytała, tuląc się do znękaney matki.—Pani Wolska taka grymasna...

Ale Orzelińska, nie była zdolną nad niczem się zastanawiać. Dzień dzisiejszy był dla niej tą słomką, która objęzonego wielbłąda pogrąża.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

Przedewszystkiem rozpisac się należy o najwybitniejszym fakcie muzycznym, jaki miał miejsce ostatnimi czasy w Warszawie: w dniu 28 kwietnia wystąpił w salach reutowych z koncertem kompozytorskim Władysław Żeleński, — o tej to prawdziwej uroczystości artystycznej chcemy na początku dzisiejszego sprawozdania wypowiedzieć najzardliwsze (jak na to zasłużyła) opinie i zapoznać czytelników przy tej sposobności z najświetniejszymi dziełami twórczości znakomitego mistrza.

Władysław Żeleński, dyrektor konserwatorium w Krakowie, jest jednym z najsympatyczniejszych ludzi, jak jest jednym z najdzielniejszych muzyków. Prawa to natura i zaćność wielona... Szczery, wolany, dobry, cały oddany sztuce, — o niczem nie myśli, tylko o swoich utworach, które się przyoblekają w kształty artystyczne, powstając z istotnego natchnienia.

Żeleński mieszka w cichej willi własnej w Krakowie—i tam wśród domowego, serdecznego ciepła rozwija twórczość, wznosząc ją na coraz wyższy poziom estetyczny i mnożąc ciągle swoje dzieła nader liczne i poważne utworami pierwszorzędnej wartości. Wykłady w konserwatorium korzystnie wpływają na wychowanie, bo Żeleński jest wyborem harmonistą i człowiekiem bardzo wykształconym; jak wiadomo posiada stopień doktora filozofii.

Donosiliśmy na tem miejscu przed paru tygodniami, że Władysław Żeleński wykończył nową operę, p. t. „Goplana.” Najświeższe to dzieło, zdaniem znawców, zawiera w sobie charakter podniosły, godny tematu, na jakim osnute zostało.

Poezya Słowackiego przemówiła do wyobraźni kompozytora, który nią poruszony do głębi, zdołał w natchnieniu swoim znaleźć dość mocy, aby skrzydłem na te wyżyny uderzyć i takowych dosięgnąć.

Więść niesie, że latem usłyszymy tę operę w jednym z teatrów prywatnych w Warszawie; zamiar jest podjęty nader poważnie i będzie niewątpliwie urzeczywistniony; wówczas dzieło w całej krasie przedstawi się publiczności i zjedna sobie z pewnością powodzenie ogólne.

Te wyjątki, które z „Goplany” mieliśmy sposobność poznać, jak najkorzystniej świadczą o operze, opartej na melodii ludowej, archaicznym zabarwionej kolorytem. W motywach, rozwijających się w dziele, słychać echa słowiańskich legend, ujętych w formy mistrzowską nakreślone ręką. Do skarba więc muzyki naszej przybył cenny brylant, który oby się jak najprędzej ukazał wszystkim w przepysnej grze swoich światła.

Na koncercie Żeleńskiego zaprezentował się talent jego nader wszechstronnie i wyraźnie; przyjęto też znakomitego kompozytora z zapałem, obdarzając go laurem, oklaskiem i okrzykiem, pełnym entuzjazmu.

Ale bo też młodzieńcza i wiecznie świeża ma on fantazyę! Lata nie mogły nie jej ująć z lotności ani z siły: fantazyja to dziarska, świetna, potężna i poetyczna zarazem,—a tak przez słuchaczów warszawskich odczuwana, że prosto do serca trafia i nas sobie bezwzględnie zjednywa.

Czem jest pieśń Żeleńskiego? Zrozumiała, piękną, kołyszącą i rzewną melodią, z łona ludowego wyjętą, w ciało przyobleczoną; przez melodię tę przebiegają dreszcze i szmery „łak i pól,” odzywają się w niej drzemiące echa rusałek rozmarzonych i sennych lub ogniste hołupce podkówki. Płynię to wszystko jedną harmonią w górę, tryska strumieniem czystym z nieskałanego źródła natchnienia—i wywiera głębokie, wzruszające na wskroś wrażenie.

Smutek i wesele podają sobie w uścisk serdeczny dłonie: smutek rozrzuca, wesele pociesza; po kolei dwa te uczucia, z których życie się składa, z pieśni Żeleńskiego wyłaniają się na zewnątrz i poją nas rozkoszą. Słodczy kojarzy się u niego z namiętnością, poezyja z humorem, szeroki śpiew z rytmem charakterystycznym i pełnym dobitnego wyrazu; na przemian: jest Żeleński poetą i grajkiem

ludowym, wielkim mistrzem i skromnym pastuszkim z fujarką.

„Z łak i pól,” „Co mi tam,” „Czarnobrewa,” „Zawód” — wszystko to są perły przedziwnej piękności, w stylowych oprawach: śliczne melodye twórcy osadził w ramach wytwornych i przepysnie rzeźbionych.

Pieśni te odśpiewała na koncercie mistrzyni nieporównana dykei i wokalne doskonałości, p. Józefa Szlezigerówna. Jestto artystka—wyjątkowych przymiotów, śpiewa i frazuje tak pięknie, że o tej interpretacji tylko słowa najgorętszej pochwały wypowiedzieć można.

Pieśń w formie romansu na skrzypce i fortepian odśpiewał inny śpiewak, król skrzypków, Stanisław Barcewicz. Zarówno kompozytor, jak wykonanie oczarowały słuchaczy. Kompozytor—twórcą i wykonawcą artysta dopełnił się wzajemnie, uwydatniając prawdziwe arcydzieło w swoim rodzaju.

Wysokiej wartości jest „Hymn do muzyki” na chór mieszany z towarzyszeniem orkiestry; nieopisany również wdzięk posiada „Róża,” kompozytor głęboko motywowana w charakterystyce i świetna pod względem faktury.

Kwartet smyczkowy podobał się bardzo; partycja odznacza się oryginalnymi pomysłami, subtelnie przeprowadzonymi w każdym głosie; ślicznie brzmią pojedyncze części: *Allegro scherzando* i *Adagio*. *Andante* i *Finale* kończą całość w sposób niepopolity.

Powiodł się tedy koncert kompozytorski Władysławowi Żeleńskiemu bardzo dobrze: sukces to był i tryumf znakomitego twórcy, przez długi czas u nas niezapomniany.

Pisaliśmy już w Ruchu muzycznym o p. Katarzynie Jaczynowskiej, która przed wyjazdem swoim zagranicę dała się u nas poznać, jako wytrawna pianistka.

Obecnie wystąpiła z koncertem własnym w salach reutowych i ukazała się, jako skończona wirtuozka. Uczennica Rubinsteina, wyrobiona w doskonałej szkole, opanowała p. Jaczynowska wszystkie trudności techniki; inteligentna i bystra z natury, wnika trafnie w myśl kompozytora i umie ją przed słuchaczem wyłożyć odpowiednio. Zewnętrznie i duchowo przedstawia się gra p. Jaczynowskiej świetnie.

Przez dźwięki przemawia do słuchacza poetyczna dusza artystki, pełna uczuć delikatnych i rzeczywistej głębi. Indywidualność i siła talentu objawia się dobitnie w traktowaniu „Humoreski” Schumann, utworu nadzwyczaj tęsknego i prześląkniętego niepokojem serca. Rzadko kiedy piękne to dzieło wykonywają artyści—a szkoda, bo zawiera w sobie dużo zalet i niemało charakteru lirycznego z chwilowymi przeblaskami radości. P. Jaczynowska posiada najwidoczniej w duszy swej wiele moralnych przymiotów, skoro tak trafnie umie przeniknąć wnętrze Schumannowskiego natchnienia. „Kto się na to—mówi Bogusławski—zdobyć potrafi, ten widocznie wziął święcenie artyzmu.” Artystka, oprócz tego, wykonała doskonale Nokturn, Mazurka i Walca Chopina, Sonatę *Es-dur* Beethovena, Menueta, Serenadę i Scherzo Rubinsteina, wreszcie Poloneza Liszta. Wytworna grę utalentowanej pianistki nagrodzono hucznymi oklaskami i trzema wspaniałymi koszami żywych kwiatów.

W operze naszej zbiera ustawicznie laury dobrana para artystyczna: p. Battistini i panna Pacini, oboje czarują interpretacją rzeczywiście niepopolitą. Battistini ma w swoim repertuarze szereg pierwszorzędnych partyi, o których pisaliśmy niejednokrotnie, p. Pacini najświetniej prezentuje się jako Ofelia w „Hamlecie” Thomasa.

Gościła również na scenie teatru Wielkiego przez kilka wieczorów znakomita śpiewaczka, Szwedka rodem, p. Sigrida Arnoldson. Artystka najbardziej podobała się w „Cyruliku Sewilskim” i „Violecie.” O dwóch postaciach Rozyny i Violetty tak pisze Władysław Bogusławski: „W repertuarze tygodniowym parę dni oddziela te dwie bohaterki; w historii opery jest między nimi cały okres literacki, cała poetyka muzyczna, cała szkoła śpiewu,—lub, jak dowodzą niektórzy, cały brak szkoły. Rulady, pasaze, tryle ustępują miejsca deklamowanemu frazesowi, partyę śpiewaczki ożywia dusza, pogardzająca wokalizmami i ludzkie zaczynają się sprzeczać, kogo łatwiej wyspiewać Rossini’ego czy Verdi’ego.

Sprzeczką trwa dotąd—a niewiele już dziś znajduje się artystek, któreby dyskutujących pogodziły, z jednakowym talentem tłómacząc tych dwóch biegunowo przeciwnych sobie kompozytorów. Pani Arnoldson należy do szczupłego grona tych uprzywilejowanych śpiewaczek.

„Jej Rozyna zaświadcza, że artystka musiała przedewszystkiem rozpocząć od Mozarta, i że studia nad „Weselem-Figara“ poprzedziły zapewne pracę nad „Cyrulikiem Sewilskim.“ Ktoś powiedział, że „Cyrulik“ to „Wesele“ *avant la lettre*. Stosowało się to do obu komedii Beaumarchais'go; tym razem stosować się może do interpretacji Rozyny przez panią Arnoldson. Inteligentna i stylowo ukształcona artystka zrozumiała, że ideałem Rossini'ego musiał być Mozart i tem „weselem“ natchnęła postać wychowawcy Bartola. Odzywa się ono w traktowaniu *cantileny* mozartowską gracyą, w grze zapowiedziami tego wszystkiego, co się później odezwać miało w hrabinie Almaviva. Żalowano już niejednokrotnie Beaumarchais'go, któremu muzycy zabrali na niepodzielną prawie własność to, co najlepszego w życiu napisał, który zniknął prawie po za Mozartem i Rossinim. Ale Beaumarchais mści się, narzucając śpiewakowi swoje komedye, nie pozwalając mu skwitować się ze sceną za pomocą jakiejś arii albo romansu. „Wesele Figara“ zarówno jak „Cyrulik“ trzeba grać i w tej konieczności pierwotny twórca obu arcydzieł odzyskuje swe prawa.— Otóż p. Arnoldson grała Rozynę, kojarząc harmonijnie motywy muzyczne i mimiczne w całość drgającą życiem i prawdą. Każdy frazes, każda nuta, każda pauza miała w tej interpretacji swoją ekspresję, której towarzyszył gość, wyraz twarzy ilustrujący psychologię śpiewu.

Z tej roześmianej, rozbawionej swawolnej dziewczyny wyzierała już przyszła chrzestna matka Cherubina, igrająca z ogniem oczów pacholęcia... Dowcip, werwa i humor dopełniały partyę Rossini'ego rolę Beaumarchais'go, dostarczając słuchaczowi i widzowi wrażeń w równym stopniu artystycznych. W partyi Violetty znakomita śpiewaczka zostawia po sobie wrażenie wytrawnej artystki; zwłaszcza czwarty akt „Violetty“ traktowany jest idealnie.

Nie godzimy się z p. Bogusławskim na ocenę interpretacji pani Arnoldson jako „Mignony.“ Mieliśmy niedawno artystkę, partyę „Mignon“ śpiewającą po mistrzowsku; mówimy o p. Mirze Hellerównie, która nas przed kilku tygodniami w roli tej czarowała. Pani Arnoldson posiada w wyżej wspomnianych partyach nieporównane zalety, co do „Mignony“ jednak nie na wszystko z nią zgodzić się można. Transkrypcja partyi z mezzosopranu na sopran nie pomaga wcale do podniesienia wrażeń; słuchacz pozostaje obojętny i żąda artystki, śpiewającej nieodpowiednią rolę. Odbiło się to też zaraz na frekwencji publiczności, która na drugie przedstawienie opery „Mignon“ nie zapełniła już amfiteatru.

Na jednym z wieczorów towarzystwa muzycznego wystąpił nadworny pianista saski, p. Herman Scholtz, dobry technik o tonie wyrazistym; gra jego jest zajmująca, ale nie porywa ani nawet sympatycznie nie usposabia. Prof. Tadeusz Hanicki powiada o interpretacji p. Scholtza, że jej „brak powietrza“, że jest chaotyczna, niejasna i nieco za sucha. Artysta ma dosyć uczucia i swobody, jak tego dowiódł w interpretacji utworu Lassen-Lisza, lecz wyższego natchnienia nie posiada.

Mamy w szeregu słyszanych produkcji do zanotowania występ solowy młodego wiolonczelisty, p. Tadeusza Joteyki, który oprócz kompozycji uprawia również z prawdziwym powodzeniem grę na tym pięknym choć trudnym instrumencie. Utalentowany artysta odtworzył śliczną elegię Masseneta, wykazując głęboki ton i dużo rzeczywistego sentymentu. Gra p. Joteyki jest bardzo inteligentna, pełna dobrego smaku i wytworności. Będziemy mieli sposobność niezadługo bliżej przypatrzeć się pracom młodego artysty; wtedy rozberzemy dokładnie tę wybitną indywidualność, która sztuce winna przynieść niewątpliwy pożytek.

„Orkiestra symfoniczna“, świeżo zawiązana w Warszawie, coraz większe zdobywa uznanie. Złożona z młodych w znacznej części członków, orkiestra z zapałem do dzieła się zabrała i wywiązuje się z zadania za każdym występem ku zadowoleniu naszych melomanów. Utworzy się nareszcie z tej

orkiestry zbiorowe ciało, które odda sztuce wielkie usługi; zyska na tem istotnie ruch muzyczny w Warszawie. Wyborny znawca spraw artystycznych, prof. Hanicki, takie daje rady młodej drużynie: „Przy wyborze sztuk radziłbym trzymać się ściśle z góry nakreślonego a ustopniowanego pod względem trudności programu. O ile zrozumiałe są dla mnie aspiracje młodych muzyków, usiłowanie przy pierwszej sposobności odtwarzania utworów owych ukochanych mistrzów, którzy służyli im, jako gwiazda przewodnia, byli ideałem, ku któremu kierowały się ich prace i dążności, o tyle znowu szkodliwe jest dla rozwoju orkiestry bezplanowe chwytanie się rzeczy, przekraczających możność, zasób wprawy i sił w danej chwili.“

Młoda drużyna musi pamiętać, że jedynie wytrwałością a pracą dojść może do prawdziwego arcyzmu. Dotychczasowe produkcje orkiestry w towarzystwie muzycznym każą jej wróżyć pomyślną przyszłość; dobrze zrobiło nasze towarzystwo, że dało nowemu organizmowi muzycznemu pole do wykazania zalet uzdolnienia do rozwoju. Za to nie pochwalamy go, że pozwoliło produkować się małej wiolonczeliste, Argiewiczównie, która stanowczo zaniechać powinna na dłuższy czas publicznych eksperymentów.

Koncert w Kaliszu, jak donoszą pisma, nie wywarł korzystnego wrażenia,—pocóż znowu dziecko to męczyć? Talent jest, ale nauki potrzeba. Przypomnijmy sobie, że Józef Hofman przez dziesięć lat nie występował publicznie ani razu—i dla tego został wielkim artystą.

Korzystnie zaprezentowały się na ostatnim wieczorze towarzystwa muzycznego młode śpiewaczki: p. p. Jadwiga Mielęcka i Marya Lebrun. Obydwie podobały się słuchaczom. P. Mielęcka, uczennica prof. Rzepki, wykazała zalety dobrej szkoły i głosu nader miły; p. Lebrun, uczennica p. Dowiakowskiej, również odznaczyła się metodą śpiewu nie pozostawiającą nic do życzenia. Akompaniował do śpiewu towarzysz dzielnymi solistami, prof. L. Urstein. Na pochlebną wzmiankę zasługuje również bardzo wdzięczna deklamacja p. Maryi Very, która ma w sposobie wygłaszania wierszowanych utworów dużo prostoty i liryzmu.

Dwie orkiestry zagraniczne rozpoczęły codzienne występy w Dolinie Szwajcarskiej i w ogrodzie Bagatela. W tej ostatniej grać będzie znany zaszczytnie z przeszłego roku dyrektor Mayder, który ma pod swoją batutą orkiestrę pierwszorzędnej wartości artystycznej. Przyszłym razem obszernie zdamy sprawę z obecnych koncertów p. Maydera.

Orkiestra wiedeńska Ertla urozmaica wieczory w Dolinie szwajcarskiej. Tymczasem więc, jak na sezon późnej wiosny, mamy muzyki do syta. Orkiestra Ertla składa się z czterdziestu osób: siedmiu pierwszych skrzypków, pięciu drugich; oprócz tego znajdują się trzy altówki, dwie wielonczelce, 3 kontrabasy i komplet instrumentów dętych.

Na zakończenie słów kilka należy powiedzieć o wznowieniu na naszej scenie „Purytanów“ Bellini'ego. Dużo się krytyka o wznowieniu tego dzieła rozpisuje—ujemnie. Zarzucają operze niektórzy, że nie jest opracowaną instrumentalnie. Nie trzeba zapominać jednak, że braki te wynagradza swoją melodyjnością—a to przymiot tak ważny, iż chyba jest nawet od instrumentacji ważniejszy.

W niedzielę wystawiono na scenie teatru Wielkiego nowy balet, p. t. „Dama kierowa“, z muzyką p. Spetriny, który w zastępstwie chorego p. Trombini'ego dyryguje operą włoską.

Rzecz pomyślana i ułożona bardzo ładnie przez baletmistrza p. Grassi'ego, nie odznacza się w partyi muzycznej ani melodyjnością, ani charakterystyką pojedynczych szczegółów. Muzyka ta jest zrobiona dla baletu, ma zaś w sobie dosyć potrzebnej w balecie lekkości i wdzięku, choć nie jest oryginalną wcale. Cały balet wypadł świetnie.

Adam Dobrowolski.

Nienawidzę.

NOWELLA.

(Dokończenie).

— Jak tu ztąd nie daleko do pańskiego Boreczyna, panie Stefanie!—zagadnęła pani Żabińska.

Pan Stefan nagle skoczył do staruszki, chwycił obie jej ręce, zaczął je całować i między pocałunkami następujące wyrzucił słowa:

— Pani dobrodziejko szanowna!... panie już z godzinę na spacerze... ogromny kawał od Żabińska... mój Boreczyn tuż!... kochana pani dobrodziejko... lepiej do mnie wstąpić... choć na chwilę odpoczynku!... ja odwieżę potem do Żabińska!...

I całował po rękach swoją sąsiadkę tak gorąco, tak błagalnie błękitnymi oczyma spoglądał na nią, że aż pani Żabińska śmiać się zaczęła.

— A wie pani dobrodziejka,—odezwał się wujaszek—że on ma słuszość, jak Boga kocham! Z powrotem do Żabińska daleko! tak przy gawędce przeszło się, ani było czuć—ale wracać z miejsca, daleko, za daleko!

— Więc zgoda? zgoda? — pytał uszczęśliwiony pan Stefan.

Pani Żabińska pokręciła głową i odpowiedziała: — Ze ten Boreczyn brylant między okolicznymi wioskami, a jego właściciel drugi brylant między naszą młodzieżą, wiem ja to oddawna; ale czy nam wypada kawalerowi wizytę składać, tego doprawdy nie wiem!

— Ależ to nie wizyta!—znów do ręki pani Żabińskiej pochylając się, zawołał pan Stefan,—to zupełnie tak, jakby panie do jakiej wiejskiej chałupki na minutkę wypoczynku wstąpiły! Nawet szanowna pani życzyła sobie podobno obejrzeć kiedy mój majątek, owczarnię, stawy, ogród... Mam żniwiarkę zupełnie nowego systemu, z Anglii sprowadzoną, niezmiernie ciekawą do obejrzenia... To przecież nie wizyta, to tylko chodzenie po bożej ziemi!...

I znów całował pan Stefan ręce staruszki i oczyma najgorętsze zanosił błagania.

— Co się tu długo ceregielować! — dorzucił wujaszek.—Jeżeli wypadało niewieście włóczyć się po całym świecie, to już nie kompromitacja wejść na cudzą łakę!

— Ano prawda! — potwierdziła pani Żabińska, która już oddawna pragnęła zajrzeć do tego sławnego na całą okolicę Boreczyna.

Pan Stefan znów rzucił się do ucałowania ręki.

— To ja naprzód pobiegnę! — z rozpromienioną twarzą zawołał—a państwo będą łaskawi pod lasem iść, bo tędy cień, a potem wujaszek poprowadzi przez mostek, nad stawem i prosto w ogród! Ja pobiegnę polem, bo najbliżej!

Skłonił się szarmaneko, spojrzął pierwszy raz prosto w oczy panny Heli i pobiegł ścieżynką wśród złotych zbóż.

— A nie leć tak prędko! Robisz konkurencję Bakierowi!—zawołał za nim wujaszek.

— A Bakier to kto? — spytała, jakoś bardzo rozweselona panna Hela.

— Bakier? panienczko! ho, ho! to główna persona w Boreczynie! — odpowiedział pan Andrzej.—To jego wierzechowie! Co prawda wspaniały, anglo-arab! a klusa ma takiego, że z ekstracugiem bez konfuzji ścigaćby się mógł! Tylko, że ten Stefek, to go strasznie cecka! Nikomu do Bakiera przystąpić nie wolno, a broń Boże go dosiąść!

— A on łaskawy, ten Bakier? — piwne oczka na pana Wyżynę podnosząc, pytała dalej Hela.

— O! łaskawy! z ręki bierze cukier, a za Stefanem, toby tak chodził krok w krok! Żeb położy mu na ramieniu, śliczną szyję wyciągnie i idzie!

Pannie Heli spodobało się to widocznie, bo wsunąwszy rączkę pod ramię pana Wyżyny, znów zaptała:

— No i co więcej ten Bakier?

A pan Stefan biegł tymczasem przez pole co sił i myślał:

— Co to ona lubi, moja Hela? aha, prawda! poziołki ze śmietaną! Moje kociątko złote. Ale!

ja ani przypuszczał, żeby to pierwsze spotkanie tak mnie dużo kosztowało! Ale i ona była z początku zmieszana. „Robię wszystko, aby nie czuć długości dnia.“ Biedaczka! dłużyły jej się dni bezemnie! Oho! nie puszcza ich przed kolacją! Każę Agacie upiec kurczęta. Jak to ona ślicznie kurczaczki zjadała: brała w różowe paluszki tak zgrabnie i ogryzała kosteczki! I krem śmietankowy z konfiturami każę zrobić. A na podwieczorek: kawa, truskawki, wiśnie, cukierki, aha! prawda! zaraz Pietrka muszę po cukierki posłać, tylko mila do miasteczka!

I biegł pan Stefan coraz prędzej.

Doparł wreszcie Boreczyna i skoczył do kuchni. Agata siedziała przy oknie i koronkę szepiała.

— Agato! trzeba prędko szykować podwieczorek! Goście do nas jadą!

Agata zerwała się na równe nogi.

— Poziomki są?

— Są, proś pana! dziewczuchy tylko co zebrały!

— To dobrze. Maryśka i Petronela niech do ogrodu lecą i narwą truskawek, co najpiękniejsze! i wisien i malin! A Agata niech się zwiąja!

— Migiem, proś pana!

Potem pan Stefan wyleciał na dziedziniec.

— Pietrek!—zawołał na cały głos.

Ze stajni wybiegł chłopak.

— Osiodłaj-no sobie prędko Bakiera i leć co tchu do miasteczka! Napiszę ci karteczkę, oddasz ją w cukierni, pan Dżarski da ci pudełko cukierków i duchem wraca!

Pietrek oczy wytrzeszczył.

— To, proś pana, kogo ja mam osiodłać?

— No Bakiera! W pół godziny żebyś był z powrotem!

Pietrek pędem poleciał do stajni.

— Ociec!—krzyknął do siedzącego przy koniach wieśniaka,—panu cosik się zrobiło, kazał na Bakierze za posyłką duchem do miasteczka lecieć!

— O rety! na Bakierze?! A to pewnikiem do japytyki?—zawołał stary.

— Ii, gdzie! pan dziś okrutnie na zdrowego wygląda!—odparł Pietrek, siodłając co żywo wierzchowca.

Pan Stefan tymczasem nakrywał z Agatą śnieżnej białości obrusem stół, wystawiony na trawnik i uwijał się; wyprzedzając starą sługę w znoszeniu z jadalni talerzy, cukru, serwetek.

— A dziewczuchy niech tam i liści narwą do przystrojenia koszyczków z owocami!

— Już narwały, — odpowiedziała Agata, stawiając na stole tacę ze szklankami.

— Jakób, Jakób!—zawołał nagle pan Stefan, ujrawszy zdaleka starego ogrodnika.—Niech-no Jakób ułoży w tej chwili piękny bukiet! — mówił do zbliżającego się. — Ale z samych róż, rozumie Jakób? z samych róż!

— No rozumiem.

— Ale żeby nie była taka piramida, jak zwykle, tylko lekka wiązankę ułożyć. Ale niech Jakób nie nie wtyka!

— No rozumiem.

— Żeby były same róże!

— A trochę lelii można?—spytał ogrodnik, który jedynie do mieszanych bukietów miał przekonanie.

— Żadnych lili; same róże!

— No rozumiem.

Pociągając nogami odszedł stary Jakób, ale w głowę się skrobał, bo nie mógł sobie wyobrazić, jak to ten bukiet z samych róż wyglądać będzie.

Pan Stefan skoczył jeszcze do stajni, sprawdzić czy Pietrek już wyjechał, kazał drugiemu stajennemu do Żabina pobiedz i sprowadzić pozostały tam amerykań; następnie do sypialni swej na chwilę jeszcze wpadł, czuprynę pocesał, oczyścił zakurzone cokolwiek ubranie, w lustrze się przejrzał, wąski zakręcił i znów do ogrodu pobiegł.

Stół był już zastawiony koszyczkami owoców, ciastem, talerzyki malowane na czterech stronach stołu symetrycznie poustawiane były, a w pośrodku wznosił się w kryształowym wazonie bukiet róż, z pomiędzy których lewkonie, jakby zawstydzone swoją obecnością, nieśmiało wychylały główki. Ale pan Stefan już tego nie spostrzegł, bo właśnie w bramie ogrodu ukazali się wyczekiwani goście.

Młody gospodarz skoczył co żywo i, podawszy ostentacyjnie ramię pani Żabińskiej, rzekł:

— Pani dobrodziejko! mój Boreczyn do końca świata nie zapomni takiego zaszczytu!

— A pewno, że wielki zaszczyt, takich gości przyjmować!—odezwał się pan Wyżyna. Ja, choć już sześćdziesiąty pierwszy rok zacząłem, alem takiego honoru nie dostąpił!

— Bo wujaszek może prosić nie umiał!—prowadząc panią Żabińską do stołu, zażartował siostrzeniec.

— At, prosić, prosiłem; chociaż ja zawsze zdaleka się od kobiet trzymałem; nie chciałem Pana Boga obrażać!

— Alboż to obraza boska, mój jegomość!—oburzyła się pani Żabińska.—Toć Adamowi i raju było za mało, póki Ewy nie dostał!

— Racya, pani dobrodziejko, racya, tylko, że miał z nią później strasznie dużo ambarasu...

Pan Stefan usadowił swych gości przy stole, podawał, częstował, przysuwał, chciał jak można najuprzejmiej pokazać się gospodarzem.

— Ale pan to nie nie je! — zauważyła panna Hela.

— A co mi pani da?—podsuwając panience swój talerzyk, zapytał młody człowiek.

— To, co pan najlepiej lubi! — odpowiedziała i sięgnęła po koszyczkę z truskawkami.

Płowe wąski pana Stefana zadrżały w uśmiechu.

— A cukru, to jak ja lubię do truskawek? — zapytał, śmiało spoglądając w oczy swej sąsiadce.

— O! cukru, to dużo, dużo, bez miary!—zaśmiała się panienska i na wybrane własnoręcznie truskawki sypała istotnie dużo, dużo cukru, przebijając białymi paluszkami po srebrnej łyżeczce.

— Widzi pani dobrodziejka, jak oni tam sobie godność świadcza? — zauważył pan Wyżyna, wskazując młodą parę. Kiedy tak, to ja na tym końcu stołu będę gospodarzył i doleję szanownej sąsiadce kawy, dobrze?

I tak zabawiali się i gawędzili goście pana Stefana, nie zwracając nawet uwagi, że słońce płynie i płynie po niebie, coraz większe, coraz czerwieniejsze.

Pietrek wrócił z ogromnem pudłem cukierków, a wtedy i Bakier musiał się gościom przedstawić, tylko o jego wycieczce do miasteczka, zakazał pan Stefan Pietrkowi wspominać.

Anglo-arab, jakby domyślając się, że tu o popis chodzi, wygiął kształtnie czarną szyję, ogon odsadził i stapał za swoim panem z taką gracyą, jak baletniczka po scenie.

A panna Hela pasła wierzchowca cukierkami, gładziła jego lśniąca, długą grzywę, aż konik zarżał wesoło...

Potem pan Stefan zaproponował swym gościom przejażdżkę po stawie.

Znakomicie umiał on wiosłować; zielona łódeczka, w łabędzią wygiętą szyję, mknęła długo po szklistych wodach borezyńskiego stawu, od równych uderzeń wiosła woda falowała, niby łuska srebrzysta. Aż księżyc w końcu wypłynął z za lasu i przypomniał panu Stefanowi, że tam kolacja pewnie już gotowa.

Przybito więc do brzegu, i znów zasiedli wszyscy w około stołu, na którym ukazały się kurczęta, a po nich krem śmietankowy z konfiturami.

— No panie Stefanie! — podnosząc się od stołu i dziękując gospodarzowi, rzekła pani Żabińska—nam już do domu czas. Bardzo się jakoś ta minutka wypoczynku w wiejskiej chałupce przeciągnęła!

— Pani dobrodziejko, już zakładają do wolantu!

Wszyscy wstali.

Z boku na trawniku wznosiła się kregielnia. Na drewnianej podstawie w ziemię białej, stało dziewięć dużych drewnianych kregli, między którymi dominował w pośrodku król z koroną na okrągłej głowie. Wielka drewniana kula wisała na długim sznurze, przyczepionym do żelaznego słupa.

Pan Wyżyna podszedł do kregielni.

— No, panno Helu! Kto od jednego uderzenia więcej kregli przewróci?

— Pewno ja! — rezolutnie zawołała panienska.

— Ejże!—przekomarzał się wujaszek—o zakład!

— Dobrze!

— Jeśli panna Helunia wygra, to obok mnie w wolancie siedzieć będzie, ale jak przegra to... obok Stefka na kozle!

— Zgodą! zgodą!—zawołał pan Stefan, nim jeszcze panna Hela słowo wymówić zdążyła.

Wujaszek ujął w obie dłonie kulę, zamierzył się raz i drugi, na palce się wspiął i z całej siły huknął w kregle.

Król i siedem pachołków potoczyło się po murawie.

— Ach! jak dużo!—krzyknęła Hela.

— No, panienczka teraz wszystkie znieść musi!—zaśmiał się zadowolony ze swego rzutu pan Andrzej.

— O zmiotę!

Pan Stefan poustawiał rozrzucone kregle na drewnianej podstawie, a wujaszek podał tymczasem kulę swej przeciwniczce.

Hela odsunęła się od słupka i przez chwilę mierzyła okiem odległość pionów.

— Niech pani kulą szerokie koło zatoczy!—upominał pan Stefan.

Panienska niebacznie posłuchała podstępnej rady i takie szerokie koło kulą zakreśliła, że ani jeden kregiel nie upadł.

— Aha! przegrała panna Helunia! przegrała! za karę na kozle siedzieć będzie! — tryumfował wujaszek.

— To pan Stefan winien, że tak źle poradził!

— Można było rady nie słuchać! — zauważyła pani Żabińska. — Ale my z panem Wyżyną dobrze na tem wyjdziemy; będzie nam wygodniej siedzieć.

W tej chwili przed kregielnią zajechał wolant, parą kasztanów zaprzężony. Pan Stefan wskoczył na kozioł i wziął lejce z rąk Pietrka, a wujaszek usadowiwszy wygodnie panią Żabińską w głębi wolantu, pomógł panie Heli dostać się na kozioł.

— Jak to można było tak źle mi poradzić!—powiedziała panienska, gdy już miejsce obok pana Stefana zajęła.

— Ja w Żabinie pięknie za to przeproszę, dobrze?—ruszając z miejsca, odpowiedział woźnica.

— Stefan! a nie wywróć tam! — z głębi wolantu upominał pan Wyżyna.

— Niech się wujaszek nie boi!

Wyjechano za bramę.

— Jakie śliczne te pańskie kasztanki!

— Ale prawy zgrabniejszy, uważa pani?

Panna Hela nie zauważyła, ale powiedziała: A prawda! — a potem podniosła głowę i patrzyła w niebo.

Na ciemnym szafirze migotały gwiazdki, nie liczne ale jasne, a księżyc już bardzo bliski pełni, wprost przed oczyma jej tak świecił, że od drzew aż cienie na ziemię się kładły.

— Jaka śliczna noc!—rzekła.

— Śliczna noc po ślicznym dniu!—odpowiedział pan Stefan i dodał: — Mój Boreczyn to takiego dnia nie miał!

Panna Hela uśmiechnęła się.

— A właściciel Boreczyna miał kiedy taki dzień?

— O mia! I nie jeden i lepszy...

— A co tam było lepszego?—pytała panienska.

— Co było lepszego? Ha! to było lepsze, że się wiedziało, iż taki sam dobry dzień będzie i jutro i za tydzień... a za parę miesięcy—jeszcze lepszy, i potem to już tak przez całe życie...

Zamilkli, kasztany tylko parskały, a księżyc świecił tak jasno, że się aż srebrzyło w oko.

— I co tam jeszcze było lepszego?—odezwał się znów głos panienski.

— Co było lepszego? Ot to było lepsze, że jak się poprosiło o takie różyczki, co przez cały dzień za paseczkiem zasunięte były, to je się w końcu dostało... i nie mówiło się wtedy tak, jak do każdej obcej osoby, tylko inaczej... tak króciutko... dwiema sylabami...

Znów zapanowała chwilowa cisza, aż ją głos męski przerwał.

— A pani miała jaki dobry dzień w tych trzech latach?

— Ani jednego!

— A przedtem były dobre?

— O były!

— A który był najlepszy?

— Przedostatni!

Teraz z kolei pan Stefan się uśmiechnął.

— A ostatni, to który?

— Ostatni, to był zły, zły... Tak płakałam... tak było potem ciężko...

— A mnie to nie było ciężko?

Westchnęli oboje i czas jakiś jechali w milczeniu. Wreszcie pan Stefan zapytał.

— Co pani śpiewała, nim myśmy przyjechali?

— „Mój kwiatek.“

— Ach! to: „W pączku róży tys poczęta?“

— Tak. Pan to zna?

— O doskonale!

„Jabym ciebie za ten cały wielki nie dał świat!“

— A jednak pan oddał i w dodatku powiedział, że nienawidzi... — bardzo cichutko wymówiła panienka.

Pan Stefan szybkim ruchem zgarnął lejce w jedną rękę, a wolnem ramieniem drugiej objął kibić swej sąsiadki i, pochyliwszy się nad nią, zaczął szeptać namietnie:

— Tak! nienawidzę! nienawidzę moją Hełę, kiedy daleko odemnie! nienawidzę jej usteczka, gdy nie do mnie mówią! nienawidzę wszystkie uderzenia jej serduszka, co nie dla mnie biją!... I oddałbym resztę życia... cały wielki świat... byle mi Hełę wrócić!

— Stefek! a nie wyrwać tam! Co kasztany tak nierówno idą?

Pan Stefan w tej chwili nie mógł się oderwać, bo miał usta przycisnięte do rączki panny Heli.

— Niech się wujaszek nie boi! — odpowiedziała za niego panienka.

I w istocie nie było się już czego obawiać, bo właśnie kasztanki stanęły przed dworkiem Żabina.

Ale panowie nie zaraz powrócili do domu, jeszcze wypili herbatę w Żabinie. Pan Wyżyna z panną Żabińską, usadowiwszy się wygodnie na kanapie, spierali się z godzinę, która szkoła więcej warta, czy florencek, czy wenecka. Panna Hela grała, śpiewała, a pan Stefan już bez żadnej obawy przysuwał tak blisko swój taboret, że niekiedy dotykał nim białej sukienki swej sąsiadki.

Późna już noc była, kiedy znów na drodze zaturkotały koła wolantu. Pan Wyżyna drzemał, a siostrzeniec jego od czasu do czasu spoglądał na bukietki zwiędłych różyczek, co mu sterczał na klapie żakietu, i uśmiechał się radośnie do księżyca.

Dopiero, kiedy byli bardzo już blisko domu, pan Stefan zawołał:

— Wujaszku! Niech sobie wujaszek z Żabińską pojedzie do Włoch!

— Zwarjowałeś, czy co? — z drzemki nagle obudzony burknął pan Wyżyna.

— Nie! Tylko ja się żenię! — krzyknął na cały głos pan Stefan i, trzasnąwszy z bata, wjechał w bramę Boreczyna.

KONIEC.

Z bieżącej chwili.

— Doroczne procesye w dniu Ś-go Marka przeciągnęły przez ulice miasta naszego ze zwykłą uroczystością. Wszystkim towarzyszyły bractwa ze światłem i chorągwiami, oraz orszak liczny pobożnego ludu.

— Na dochód Warszawskiego Towarzystwa dobroczynności odbyło się w d. 2 maja w sali Towarzystwa cyklistów przedstawienie amatorskie, na którem odegrano trzy komedye, „Hanibal ante portas“ Gawalewicza, „Rachunki“, „Paillerona“, „Piosenkę wujaszka“ Fredry.

— Wystawa umeblowań stylowych zapowiada się dobrze, bardzo wiele osób złożyło deklaracyą udziału a pomiędzy niemi hr. Branicki Ksawery i hr. Potocki Józef. Na wystawie każdy styl przedstawiać będzie grupę oddzielną a mieścić się ma ona w gmachu przemysłu i rolnictwa. Makaty, dywany, obicia, ramy umieszczone będą w specjalnych przepierzeniach; świeczniki i żyrandole umieszczone zostaną wśród każdej grupy. Wystawa zostanie otwarta w d. 15 maja w gmachu Muzeum przemysłu i rolnictwa.

— Hr. Przeździecki Konstanty sprowadził z Wiednia przedmioty zakupione tam przezeń dla stacyi ratunkowej na wystawę higieniczną. Jest tam pawilon zawierający pokój inspekcyjny, pokój dla narzędzi i telefonów, oraz pokój w którym stróż zdrowia czuwać powinien dniem i nocą, a obok tego pawilon wystawy mieści ambulans dla przewozu chorych zakaźnych. Dodać należy że hr. Przeździecki zajmuje się tem wiele, aby stacya została zorganizowana jak najlepiej. Urządzeniem jej zajmuje się D-r Vragazy, naczelny lekarz Towarzystwa ratunkowego w Wiedniu i organizator wiedeńskiego pogotowia ratunkowego; węgier rodem kształcił się najpierw w Wiedniu, następnie badał urządzenia sanitarne we Francyi, Anglii i Niemczech, co przemawia za tem, że urządzenia Warsz. stacyi ratunkowej będą dobre.

— Na rzecz kościoła na Pradze ś. p. Kruszewski zapisał 17,000 rs., wykonawcą ostatniej woli testatora jest ks. prałat Dudrewicz.

— Jan Styka wykończy panoramę Golgoty; obraz będzie 60 metrów długi, 16 wysoki. Centuryon rzymski ogłasza wyrok śmierci, w tłumie widać w rządzie pierwszym Matkę Boską obok Jezusa, dalej Łazarz z Martą i Magdaleną. Na przodzie obrazu stoi Pretor w białej todze i liktorowie niosący różgi. Centuryon Longinus na białym rumaku powstrzymuje cisnące się tłumy. Tło obrazu ukazuje przedmieście Jerozolimy, bramy Efraima i Gehenot, górę Oliwną, twierdzę Syon, grootę Jeremiaśza i namioty pasterzy, który przybyli do Jerozolimy na uroczystość paschy. Ciemne chmury osłaniają niebiosa i tylko kilka promieni słonecznych rzuciła blask na postać Chrystusa, który stoi spokojny z wyrazem rezygnacyi na obliczu. Razem rzecz cała przedstawia się wspaniale i wzruszająco.

— Zbiór fotografii mogących najbardziej zająć miast, krajobrazów i dzieł sztuki całego świata, zebrany przez angielskiego podróżnika I. Stoddarda, zaczął wychodzić we Lwowie pod tytułem „Świat w obrazach“. Fotografie te wykonane sposobem fototypijnym przedstawiają się oku wspaniale a są wielkości dużego arkusza; miejscowa opinia zwraca uwagę, czy nie należało by powierzyć opracowania tekstu informacyjnego, który jest bardzo płaski, osobie piszącej dobrze naszym językiem.

— Z Krakowa donoszą, iż staraniem Towarzystwa upiększenia miasta ma powstać po obu stronach nie istniejącego jeszcze pomnika Mickiewicza wzdłuż gmachu Sukienic skwer ozdobny; koszt obliczony na 45,000 zł. reń., poniesie Towarzystwo. Sam pomnik Mickiewicza nie zadawalnia publiczności, która pragnęła już poprzednio aby dzieło to zostało powierzone Cypryanowi Godebskiemu z Paryża, który otrzymał pierwszą nagrodę za projekt pomnika.

— Dyrektor krakowskiej szkoły sztuk pięknych Juliusz Fałat stara się usilnie aby ta instytucya zaliczoną została do zakładów wyższego znaczenia z nazwą akademii.

— Krakowska kasa miejska oszczędności zapomogła hojnie miejscowe instytucje dobroczynne kwotą znaczną 12,600 zł. reń., a z sumy tej przeznaczono 6,000 zł. reń., na restauracyę kościoła

Ś-go Krzyża. Poprzednio już wzmiankowana kasa wydała na ten cel 8,000 zł. reń.

— Otwarta została pierwsza w Krakowie szkoła dla osób pełnoletnich, nie umiejących czytać, nauka jest bezpłatna. Wśród starań jakie w tym celu czyniono wykazało się że służba prywatna wyrobni- cy dzienni i większość posłańców publicznych, należy do tej liczby. W stosunku innych krajów, należących do państwa austriackiego największa ilość analfabetów przypada na Galicyę.

— W d. 2 maja odbyło się we Lwowie zebranie z koncertem obrazowo przedstawiającym historyczny rozwój muzyki od czasów greckich do dni naszych.

— Teatr lwowski bardzo pomyślnie się rozwija pod świeżo objętą dyrekcją, publiczność tłumnie też go nawiedza a wznowione komedye Fredry ściągają zawsze liczną ilość osób.

— W Berlinie wytworzył się komitet złożony z mężów nauki z celem uroczystego obchodu setnej rocznicy wynalazku ospy ochronnej przez D-r Jennera. Rzeczą ma się odbyć bardzo wspaniale w d. 15 maja w ratuszowej wielkiej sali wieczorem. Na czele komitetu stoją dwaj wybitni mężowie nauki, Bergmann i Langerhaus, mowę okolicznościową wypowie profesor Gerhardt należący do składu uniwersytetu berlińskiego.

KOMITET KASY POMOCY

dla osób pracujących na polu naukowym

imienia D-ra Mianowskiego,

podaje do publicznej wiadomości, że w wykonaniu woli ś. p. Zenona Pileckiego, który testamentem z d. 25 Czerwca 1890 r. przeznaczył sumę rs. 21,950 w Listach Likwidacyjnych Królestwa Polskiego na rzecz kasy imienia J. Mianowskiego pod warunkiem, aby procenty były przeznaczone corocznie na wynagrodzenie autorów za prace naukowe z dziedziny historii, literatury, językoznawstwa i prawodawstwa polskiego, jak również nauk matematycznych i przyrodniczych, Komitet mając do rozporządzenia procenty za rok ubiegły rs. 800, przyznał: pp. Aleksandrowi Rembowskiemu autorowi pracy p. t. „O konfederacyach“ rs. 300, Ignacemu Chrzanowskiemu autorowi pracy p. t. „O facecjach Mikołaja Reja“ rs. 100, Henrykowi Konicowi autorowi pracy p. t. „Kartka z dziejów oświaty w Polsce“, (Czas Księstwa Warszawskiego) rs. 100, Floryanowi Ługowskiemu autorowi pracy p. t. „O znakach pisarskich“ rs. 100 i Józefowi Eismondowi autorowi pracy p. t. „Studia nad Pierwotnikami okolic Warszawy“ rs. 200.

Prezes Komitetu A. Okolski.

Członek Komitetu Sekretarz St. Libicki.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: ark. 13-ty powieści p. t. **Walka serca**, przez Idę Boy-Ed. Przekład z niemieckiego.

TREŚĆ: Pamiętnik niewydany hr. Potockiej-Wasowicz, przez Szczęsną. — Czemu, przez Stefana. — Kędy droga? Powieść współczesnej chwili. — Ruch muzyczny, przez Adama Dobrowolskiego. — Nienawidzę. Nowella (dokończenie). — Z bie-

Dodatek obejmuje: Walka serca, powieść, przez Idę Boy-Ed. Przekład z niemieckiego, ark. 13-ty. — Przegląd mód. 27 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.